

J a c e k H o ł ó w k a

Falszywa demokracja

Filozofia polityczna Johna Stuarta Milla opiera się na założeniach etycznych. W eseju *O wolności* Mill przyjmuje, że każdy ma prawo do rozwoju swych talentów i zainteresowań, że może eksperymentować ze swym życiem, jak mu się podoba, jeśli tylko realizując swe dążenia, nie stwarza zagrożenia dla innych. W *Utylitaryzmie* twierdzi, że zasadniczym kryterium wartości moralnej jest użyteczność, a więc przyczynianie się do szczęścia ogółu interpretowanego dys-trybucyjnie. Społeczeństwo jest szczęśliwe, jeśli szczęśliwe są jednostki, które się na nie składają, jeśli dorośli ludzie swobodnie realizują swe cele, wzajemnie wspomagają się w rozwijaniu indywidualności, wyżej cenią przyjemności wy-rafinowane i wymagające wyrobionego smaku niż proste zaspokajanie potrzeb. Tak nieskrępowany rozwój indywidualnych ambicji możliwy jest tylko w syste-mie liberalnej demokracji, opartym na zasadach wolności i formalnej równości obejmujących wszystkich obywateli.

Opis systemu politycznego, który sprzyja powstaniu takiego społeczeństwa, znajdujemy w eseju *O rządzie reprezentatywnym*. Mill przedstawia tam koncepcję państwa, które pełni ograniczone, lecz ważne funkcje za stosunkowo niewielkie pieniądze, zapewnia obywatelom bezpieczeństwo, a tym, którzy dobrowolnie re-zygnują z prawa do samodzielnego ułożenia sobie życia, ułatwia dążenie do wspól-nych celów. Tu widać, że choć Mill jest liberałem, nie stawia indywidualnej swo-body działania i niezależności od innych ludzi na czele wszystkich wartości.

Wszędzie, gdzie ogólne usposobienie ludu jest takie, że każda jednostka pilnuje jedynie osobistych swoich interesów i nie przykładą należycie ręki do swego udziału w intere-sach ogólnych albo się o nie nie troszczy, w takim stanie rzeczy dobry rząd jest niepo-dobieństwem. (Mill 1995: 59)

Odwołując się do negatywnego przykładu, Mill opisuje społeczeństwo, w którym brak zainteresowania losem innych jest wymuszony przez tradycję krwawej zemsty, przez brak szacunku dla prawa lub chorobliwie rozbudowane poczucie prywatności. W takim społeczeństwie nie ma miejsca – jego zdaniem – na rozwinięcie pełnej wolności jednostki.

Znajdzie się jeszcze i taki lud, który się kwalifikuje jedynie do wolności ograniczonej, częściowej, ponieważ nie chce przyłożyć się czynnie, wraz z prawem i władzami, do poskramiania złoczyńców. Lud, który skłonniejszym jest do ukrycia niż do przytrzymania zbrodniarza; lud, który, jak Hindusi, woli krzywoprzysięc dla ocalenia człowieka, który go okradł, aniżeli świadczyć przeciw niemu i ściągnąć na siebie zemstę; lud, u którego (jak to się dzieje u niektórych narodów w Europie, i to w Europie nowożytnej) panuje ten zwyczaj, że się schodzi na bok spostrzeższy, jak człowiek człowieka sztyletuje na publicznej drodze, bo rzecz taka należy do policji i bezpieczniejsze jest nie mieszać się do tego, co do nas nie należy; lud nareszcie, który burzy się na widok egzekucji, ale którego nie oburza morderstwo, lud taki potrzebuje władz karcących, lepiej uzbrojonych niż gdziekolwiek indziej, ponieważ pierwsze i niezbędne warunki życia cywilizowanego nie mają tam innej gwarancji. (Mill 1995: 42)

Mill nie jest zatem ani sentymentalnym liberałem, który brzydzi się przemocą i zabrania społeczeństwu ingerować w życie jednostki, ani nie jest libertarianinem, jak Robert Nozick, który ogranicza władzę wszelkiego rządu do minimum i bagatelizuje udział jednostki w życiu społecznym. Nie jest też komunitarianinem, jak Michael Sandel i Michael Walzer, którzy oczekują, że jednostka dostosuje swe plany życiowe i konstrukcję osobowości do lokalnej kultury. W jego filozofii każdy dorosły człowiek ma prawo zerwać więzy ze społeczeństwem, w którym żyje, jeśli adaptacja do otoczenia grozi mu alienacją lub stłumieniem osobistych pasji. Jednak sam Mill bynajmniej tej drogi nie zaleca. Jego zdaniem rozwój indywidualności możliwy jest tylko w kontaktach z innymi, w troskliwym zainteresowaniu ich losem, w harmonijnie rozwijanych przedsięwzięciach zbiorowych i w dążeniu do postępu. Głównym zagadnieniem polityki staje się więc wybór wspólnego programu działania, stworzenie „społeczności cywilizowanej” (Mill 1995: 42), która umie wyłaniać wspólne cele i pragnie je energicznie realizować. Jeśli godzimy się na realizację wspólnych celów, to ich wybór może być dokonany albo przez jakąś władzę autorytarną, albo przez samo społeczeństwo. Pierwsze wyjście trzeba z konieczności stosować wobec „ludu nieokrzesanego” (tamże) i „dzikiego” (Mill 1995: 43), który potrzebuje władzy despotycznej, niepoddanej żadnej instytucjonalnej kontroli. Drugie wyjście możliwe jest tylko wśród ludzi szanujących prawo i zdolnych do kompromisu na rzecz pozostałych obywateli. Mill tylko dla tych drugich pisze projekt systemu liberalnej demokracji. W eseju *O rządzie reprezentatywnym* przedstawia ordynację wyborczą dla rządu uformowanego przez możliwie największą część społeczeństwa, przy możliwie najmniejszym ograniczeniu wolności wszelkich pokojowo nastrojonych dysydentów. Taki rząd, rząd reprezentatywny, jest – zdaniem Milla – najlepszym z rządów możliwych.

[J]edynym rządem mogącym zadośćuczynić wszystkim wymaganiom stanu społecznego jest rząd, w którym cały lud ma udział; [...bo] wszelki udział w sprawowaniu choćby najpodrzedniejszych obowiązków publicznych bardzo jest pożyteczny; [...] udział ten powinien być wszędzie tak wielki, na jaki tylko zezwala stopień cywilizacji ogółu

społeczeństwa i [...] ostatecznym celem społeczeństwa powinien być udział wszystkich we władzy najwyższej. Ponieważ jednak w społeczeństwie przechodzącym rozmiarami swymi granice małego miasteczka każdy osobiście w nader małej tylko części może uczestniczyć w sprawach publicznych, więc ideałem doskonałego rządu może być tylko rząd reprezentatywny. (Mill 1995: 86)

W eseju *O rządzie reprezentatywnym* Mill wyraźnie stwierdza, że głównym celem rządu reprezentatywnego jest zaprowadzenie porządku i działanie na rzecz postępu. Przyznaje, że ten program nie daje się realizować bez żmudnych negocjacji, zsynchronizowanego działania wielu osób oraz bez wielkich ustępstw ze strony jednostek, które nie cenią sobie przyjętego programu działania. Może nie całkiem jest świadomy, jak trudne to jest przedsięwzięcie, i zbyt optymistycznie uważa postęp za prostą konsekwencję rozważnie zaprowadzonego porządku i ładu społecznego. Bardziej ograniczone państwo wydaje mu się jednak zbyt podobne do urzędów ludu dzikiego i nieokrzesanego, by je zaakceptować.

Postęp jest wyższym stopniem tej samej rzeczy, której niższym stopniem jest porządek. [...] Dążenie do postępu tak, jak to zostało opisane, stanowi całą wartość rządu. (Mill 1995: 56)

Optymizm Milla jest może przesadny. Ale mamy prawo widzieć w nim inspirację do śmiałych rozwiązań instytucjonalnych, a nie polityczną naiwność. Mill nie tylko postuluje dążenie do postępu, ale opisuje metodę, przy użyciu której można postęp urzeczywistnić. Rząd powinien podejmować cele, które są zgodne z dążeniami możliwie największej części społeczeństwa. W instytucjach politycznych pewną przewagę powinny mieć jednostki wykształcone, przedsiębiorcze i dbające o dobro publiczne. Na najwyższych stanowiskach powinno osadzić się ludzi mających najpełniejszą wiedzę o tym, czego oczekuje od rządu społeczeństwo i w jakich okolicznościach będzie zadowolone z efektów wspólnego działania. Nawet jeśli powszechne szczęście nie jest celem łatwo osiągalnym, to rządy reprezentatywne stwarzają najlepszą szansę jego realizacji. Trzeba tylko usunąć główne przeszkody, jakie mu stoją na drodze – ignorancję i klikowość.

Niebezpieczeństwa, jakim podlega demokracja reprezentatywna, są [...] dwojakiego rodzaju: niebezpieczeństwa wypływające z nader niskiego stopnia inteligencji w ciele reprezentatywnym i kontrolującej go opinii powszechnej; i niebezpieczeństwa grożące ze strony prawodawstwa w duchu klasowym, pozostającego w rękach większości licebnej, jeżeli większość tę jedna klasa stanowi. (Mill 1995: 130)

Społeczeństwo skłócone, chwiejne i nierozważne nie umie skorzystać z instytucji liberalnej demokracji. Gdy górę weźmie klikowość i ignorancja, poszczególne ugrupowania wzajem się zwalczają i obrzucają oszczerstwami, demagogdy przeciągają na swoją stronę naiwnych i bezmyślnych wyborców, reprezentanci, którym powierzono rządy, popadają w dezorientację i nastawieni są tylko

na utrzymanie władzy. „Niski stopień inteligencji” panoszy się wśród wyborców i wśród wybranych. W takiej sytuacji istotnie nie stanowi to większej różnicy, kto rządzi krajem, bo ktokolwiek nim rządzi, będzie rządzić źle. Alternatywą dla dowolnej opcji politycznej jest równie bezmyślna i oportunistyczna opozycja. Każda zmiana rządu pociąga za sobą wymianą urzędników, ale nie przynosi poprawy programu działania. Dominuje mentalność partyjna i frakcyjna, a polityka sprowadzona zostaje do półlegalnej działalności biznesowej. Tak rodzi się fałszywa demokracja.

Większość z większości

Przez fałszywą demokrację rozumie Mill system polityczny, w którym rządzi nie większość, ale „większość z większości” (Mill 1995: 132). Efekt taki powstaje, gdy polityczna struktura parlamentu odbiega od struktury społeczeństwa. Wyobraźmy sobie, że w jakimś kraju występują dwie główne orientacje polityczne, np. republikanie i demokraci, konserwatyści i zwolennicy partii pracy. Niech jedno z tych ugrupowań ma przewagę i przeciętnie ma w każdym okręgu poparcie trzech czwartych wyborców. Jeśli kraj jest podzielony na sto okręgów, to jest dość prawdopodobne, że w każdym ze stu okręgów dominująca partia zdobędzie przewagę. Jeśli każdy okrąg ma wysłać do parlamentu jednego posła, to z dużym prawdopodobieństwem każdy okręg wybierze reprezentanta tej samej dominującej partii, bo jej reprezentant może liczyć na $\frac{3}{4}$ głosów w każdym okręgu. Choć więc struktura polityczna kraju jest taka, że partia większościowa ma $\frac{3}{4}$ zwolenników, a partia mniejszościowa $\frac{1}{4}$ zwolenników, w parlamencie znajdują się tylko zwolennicy partii większościowej, tak jakby partia mniejszościowa w ogóle nie istniała. Partia mniejszościowa nie znajdzie się nawet w opozycji. Układ sił w parlamencie fałszywie będzie przedstawiał rozkład sił politycznych w kraju. Powstanie błędny pozór jednności i jednomyślności. Większość, nie mając żadnego oponenta w parlamencie, będzie formalnie podejmować decyzje większością głosów, ale w praktyce decyzje te zostaną ustalone przez dowolną trwałą większość, jaka się wyłoni we władzy ustawodawczej, czyli przez klikę. Ta wewnętrzna większość może nawet reprezentować interesy grupy mniejszej niż odrzucona w głosowaniu mniejszość. Nikt jednak nie będzie w stanie jej zagrozić, choć tak podejmowane decyzje będą miały poparcie nie większości społeczeństwa, tylko pewnej większości z większości, która zmarginalizowała resztę parlamentu i wpływa niepodzielnie na instytucje polityczne kraju.

Demokracja w taki sposób ukształtowana nie osiąga nawet swego deklarowanego celu, to znaczy nie oddaje władzy w ręce liczebnej większości; tylko oddaje ją w ręce większości z większości, która w istocie może być mniejszością wobec całości. (Mill 1995: 132)

W fałszywej demokracji mniejszość nie ma w ogóle reprezentacji – i Mill nie akceptuje takiego rozwiązania. Troska o los mniejszości jest charakterystycznym rysem jego liberalizmu. System demokracji parlamentarnej ma zapewniać nie tylko rządy oparte na zasadzie większości, ale także na zasadzie, że każdy będzie miał możliwość wpływania na kolektywne decyzje i nikt nie pozostanie bez reprezentanta. Mill przyjmuje zatem dwie, a nie jedną zasadę demokracji reprezentatywnej: „jedna osoba, jeden głos” oraz „każdy ma reprezentanta”. Dopiero razem wzięte zasady te określają równość polityczną.

Prawo głosowania nie jest równe tam, gdzie jakakolwiek jednostka znaczy mniej niż jakakolwiek inna jednostka tej samej społeczności. (Mill 1995: 132)

Mill, rzecz jasna, nie stara się zapewnić mniejszościom realnej władzy. To w demokracji reprezentatywnej jest niemożliwe i niepotrzebne. Jest oczywiste, że nie może jednocześnie rządzić każda mniejszość. Mill proponuje coś innego. Każdemu, kto należy do mniejszości, chce zapewnić możliwie największe szanse, by jako wyborca mógł jakiegoś przedstawiciela wprowadzić do parlamentu. Konkretnie decyzje będą podejmowane przez większość, ale głos możliwie największej liczby dysydentów powinien być w parlamencie słyszalny. Mill chce, by reprezentanci mniejszości mogli przemawiać do reprezentantów większości, by mogli ich napominać, korygować, zachęcać do zmiany decyzji, skłaniać do poszukiwania szerszej platformy dla wspólnych porozumień, kiedykolwiek to jest możliwe.

Większość wyborców powinna mieć zawsze większość reprezentantów, ale i mniejszość wyborców powinna mieć swoją mniejszość reprezentantów. (Mill 1995: 131)

Propozycja pana Tomasza Hare

By zapewnić obecność mniejszości w parlamencie, Mill proponuje przyjęcie ordynacji wyborczej opracowanej przez Tomasza Hare. Ta użyteczna i ciekawa propozycja była niestety równie niepopularna wtedy, jak i dziś. Hare postuluje, by liczbę obywateli uprawnionych do głosowania podzielić przez liczbę miejsc w parlamencie. Tak powstaje wyborcza „jednostka reprezentatywna”. Jeśli np. kraj liczy 10 milionów uprawnionych wyborców i ma sto miejsc w parlamencie, to jednostka reprezentatywna jest określona liczbą stu tysięcy wyborców. Hare zaleca, by dowolne sto tysięcy wyborców, wszystko jedno jak ukonstytuowanych, byle uczciwie i jawnie, mogło wysyłać swego reprezentanta do parlamentu.

W pierwszym przybliżeniu mamy następującą sytuację. Kandydat, który otrzyma największą liczbę głosów w swojej jednostce reprezentatywnej, zostaje posłem, bez względu na to, ile zdobędzie głosów. Frekwencja wyborcza nie ma

znaczenia. W jednostkach, w których jest tylko jeden silny kandydat, frekwencja może być niska, a kandydat i tak otrzyma skuteczne poparcie. W jednostkach reprezentatywnych, w których dojdzie do realnej walki o władzę, frekwencja może być większa, bo decyzję o tym, kto wchodzi do parlamentu, podejmuje się wewnątrz jednostki reprezentatywnej większością głosów. Dla całego kraju nie ma jednak znaczenia, jak bardzo popularny był wybrany kandydat w swojej jednostce reprezentatywnej. Każdy, kto został zwycięzcą w swojej jednostce, zostaje posłem i wielkość uzyskanego poparcia w ogóle się nie liczy. W tych warunkach cała walka polityczna schodzi z forum krajowego na scenę lokalną. Jeśli w jakiejś jednostce walka o władzę stanie się zacięta, to członkowie skłóconego elektoratu mogą zdecydować, że nie będą stanowić jednolitej grupy i w przyszłości rozdzielić się, by stworzyć dwie jednostki reprezentatywne. Decyzja należy do samych wyborców. Mają dwie możliwości do wyboru: albo będą ostro walczyć o władzę i pozostaną w większej grupie, albo rozpadną się i stworzą dwie jednostki reprezentatywne, w których jednolitość oczekiwań politycznych będzie wyraźniejsza. Wtedy jednak ryzykują, że przynajmniej jedna z grup, a może żadna, nie przekroczy progu wymaganego dla jednostki reprezentatywnej (w naszym przykładzie sto tysięcy zarejestrowanych wyborców) i stracą szansę wysunięcia jakiegokolwiek kandydata. Gotowość do ustępstw dla zachowania jedności to pierwszy element lokalnej gry politycznej. Drugi wiąże się z wielkością grupy i możliwością secesji. Żadna jednostka reprezentatywna nie jest w zasadzie zainteresowana zdecydowanym powiększaniem liczby swych członków ponad ustalony próg. Musi tu rozważyć dwa przeciwstawne względy. Z jednej strony potrzebny jest margines bezpieczeństwa. Jeśli jednostka reprezentatywna liczy dokładnie sto tysięcy, to każdy jej członek może grozić, że opuści grupę i spowoduje, że straci ona szansę wysłania kandydata do parlamentu. Za pozostanie w grupie potencjalny rozłamowiec może żądać jakichś nadzwyczajnych korzyści, np. silnego poparcia dla swego kandydata. By uniknąć takich przetargów, warto stworzyć nadwyżkę zarejestrowanych głosów, wynoszącą powiedzmy 20% czy 30%. Z drugiej strony, nie warto zwiększać tej nadwyżki ponad, powiedzmy, 50%, bo wtedy powstaje niebezpieczeństwo rozłamu. Dowolna grupa licząca więcej niż połowę wielkości progowej może próbować secesji, by zdobyć dla siebie ponadprogowe poparcie, a pozostałych członków pozbawić w ogóle reprezentacji politycznej. Jak widzimy, system Hare'a nie powoduje zbędnego kumulowania poparcia politycznego dla sztucznych i fikcyjnych ugrupowań, dla partii politycznych z mętным programem i trywialnymi obietnicami generalnej poprawy warunków. Limitując czynnikami strategicznymi wielkość jednostki reprezentatywnej, powoduje, że przestaje działać zasada: „siła jest w największej liczbie zwolenników zebranej ponad podziałami”, a zaczyna działać zasada „siła jest w spontanicznie wyłonionej dostatecznie dużej mniejszości głosujących”. To zaleta nie do pogardzenia.

W propozycji Hare'a powstaje jednak trudny problem związany z liczbą kandydatów na karcie do głosowania. Można przyjąć, że każdy wyborca wskazuje tylko jednego kandydata i wtedy wygrywa kandydat mający największe poparcie na jednoosobowych kartach. Można jednak przyjąć, że każdy wyborca ma prawo głosować na kilku kandydatów i głosy oddane na danego kandydata są wazone w zależności od tego, na jakim miejscu kandydat znalazł się na karcie do głosowania. Mill za Hare'em skłaniał się do tego drugiego rozwiązania, choć pozornie jego zalety są niewielkie, a powstające przy okazji komplikacje dość znaczne. Zalety prostego systemu: „jednak karta, jeden głos”, są oczywiste. Każda jednostka reprezentatywna sama w swoim gronie decyduje, kto będzie jej reprezentantem. Kandydat zdobywający największą liczbę głosów wygrywa. Ewentualny problem powstaje tylko wtedy, gdy dwaj kandydaci otrzymają dokładnie tę samą liczbę głosów. To jednak musi zdarzać się bardzo rzadko w grupie liczącej ponad sto tysięcy głosujących, a jeśli się zdarzy, to wystarczy ogłosić powtórne wybory – tak jak to dziś robimy – i problem będzie rozwiązany. Czemu więc ani Hare, ani Mill nie przyjmują tego rozwiązania?

Zwróćmy uwagę na tę decyzję, bo ma ona zasadnicze znaczenie dla koncepcji politycznej Milla. W jego filozofii suwerenem – by użyć ulubionego przez Hobbesa słowa – nie jest jednostka reprezentatywna, ale każdy poszczególny wyborca. Mill proponuje, by każdy wyborca miał maksymalne szanse wprowadzenia do parlamentu swego własnego reprezentanta, osobiście przez niego naznaczonego i wybranego. Dlatego proponuje wprowadzenie kart z wieloma kandydatami, choć to komplikuje obliczenia.

Przejdźmy zatem do drugiego przybliżenia. Mill wprowadza milczkiem dwa założenia: po pierwsze, wieloosobowe karty są lepsze, bo każdemu wyborcy dają kilka szans oddziaływania na wybór posła; po drugie, wyniki będą zliczane centralnie, więc każda jednostka reprezentatywna ma możliwość, ale nie gwarancję, wprowadzenia swego reprezentanta. Do parlamentu wejdą ci kandydaci, którzy uzyskają największe poparcie w skali całego kraju. Teraz zasadnicza sprawa musi być rozstrzygnięta. Czy lepiej przyjąć zasadę sumowania ważonych głosów, czy lepiej przyjąć zasadę proceduralną – zliczanie głosów wedle pewnego algorytmu. Ta kwestia nie została jasno omówiona przez Milla, więc postaram się ją bliżej przedstawić i wybiorę rozwiązanie proceduralne. Najpierw przypomnę projekt Hare'a w szczegółach.

Po pierwsze, każda jednostka reprezentatywna ma prawo wysłać do parlamentu jednego posła. Jednak choć ma prawo wysłania, nie ma gwarancji wprowadzenia posła, bo zliczanie głosów odbędzie się centralnie. To zasadnicza różnica między pierwszym a drugim przybliżeniem. Pierwsze było niedobre, bo gwarantowało wprowadzenie posła i każda jednostka reprezentatywna mogła dbać tylko o własny interes. W drugim musi dbać w jakimś stopniu o interes wszystkich. Nadal jednak jednostki reprezentatywne mogą być tworzone w do-

wolny sposób. Może to być geograficznie spójny okręg wyborczy zawierający sto tysięcy mieszkańców, może to być grupa zawodowa, religijna lub etniczna licząca sto tysięcy wyborców, może to być tradycyjna partia polityczna, ale także rozproszona grupa szachistów, elitarna grupa absolwentów prywatnych uczelni lub ludzi zajmujących się prostą pracą fizyczną.

Po drugie, każdy wyborca może być zarejestrowany tylko w jednej jednostce reprezentatywnej. To znaczy, że podczas wyborów parlamentarnych może oddać tylko jeden głos. Jednostkę taką wybiera sam i od niego zależy, czy na karcie do głosowania wybierze jednego kandydata, czy więcej.

Po trzecie, jeśli wyborca wybiera większą liczbę kandydatów, musi ustalić ich kolejność. Teraz trzeba zdecydować, czy głosy będą wazone czy przyjmujemy rozwiązanie proceduralne. W tej sprawie Mill nie wypowiada się jasno, jak wspomniałem. Mamy co najmniej trzy możliwości.

1. Jeśli głosy mają być wazone, to trzeba ustalić maksymalną liczbę kandydatów wpisywanych na kartach wyborczych, np. dziesięciu. Wtedy pierwszy kandydat dostaje np. 10 punktów, drugi kandydat 9 punktów, trzeci 8 punktów itd. Nie jest to jednak propozycja ani jedyna, ani oczywista. Ktoś może zaproponować 15 punktów za pierwsze miejsce, 10 za drugie, 5 za trzecie i dalej po jednym punkcie mniej aż do siódmego. Ósmy kandydat nie dostaje nic. Trudno sobie wyobrazić, by ewentualny spór o to, która skala jest lepsza, dało się racjonalnie rozstrzygnąć.

2. Mill sugeruje, że trzeba przyjąć próg odcięcia, by jakoś nie liczyć wielkiej liczby głosów oddanych na jednego kandydata. Próg odcięcia pozwala z góry dzielić głosy. Członkowie dowolnej jednostki reprezentatywnej mogą wejść w porozumienie z członkami innej jednostki reprezentatywnej i ustalić, jaką liczbę głosów oddadzą na poszczególnych kandydatów, tak żeby żadnemu nie budować nadwyżki (ponad margines bezpieczeństwa), lecz by móc przerzucić dodatkowe głosy na innych kandydatów. Znowu powstaje problem, na jakim poziomie ustalić próg. Za wysoki próg spowoduje, że może zabraknąć kandydatów na posłów. Za niski wytworzy ich nadmiar. Ponadto nie wiadomo, czy próg ma być stały, czy jakoś zależny od frekwencji głosujących. Zatem nie jest to praktyczne rozwiązanie.

3. Lepsze jest rozwiązanie algorytmiczne, czyli ustalające krok po kroku, jak należy liczyć głosy. Najpierw sumuje się głosy tych kandydatów, którzy się znaleźli na jednoosobowych kartach. Kandydat, który otrzyma najwięcej głosów, wygrywa pierwszy fotel w parlamencie. Potem sumuje się głosy na kartach dwuosobowych. Kandydat, którego nazwisko występuje najczęściej na tych kartach zajmuje drugi fotel. Następnie sumujemy karty trzynosobowe i kandydat najczęściej wskazany na tych kartach otrzymuje trzeci fotel itd. Rozpatrzmy to na przykładzie:

Wyborca:	1	2	3	4	5	6	7	
Karty jednoosobowe:	A	B	A	C	D	B	B	B ma 3 punkty i zdobywa pierwszy fotel
Karty dwuosobowe:	A	F	A	C	A	C	B	
	B	A	G	D	E	B	G	A ma 4 punkty i zdobywa drugi fotel
Karty trzyosobowe:	B	E	D	H	D	C	B	
	A	A	F	A	C	F	E	
	H	G	G	B	G	E	G	G ma 4 punkty i zdobywa trzeci fotel

Tak postępujemy do ostatniego fotela. Jeśli na ostatni fotel mamy więcej niż jednego kandydata, stosujemy losowanie. Jeśli remis wystąpi wcześniej, wszyscy kandydaci z równą największą liczbą punktów otrzymują fotele lub odpowiednio wcześniej stosujemy losowanie. Wątpliwości może budzić wybór między kandydatem E i G w trzeciej rundzie obliczeń. Wprawdzie G otrzymał poparcie częściej niż E, ale E otrzymał poparcie silniejsze, bo G znalazł się 4 razy na trzecim miejscu, a E raz na pierwszym, raz na drugim i raz na trzecim. Zwolennicy E mogą argumentować, że E powinien wygrać. Ich argument musi jednak odwołać się do jakichś wag, a jak widzieliśmy, przyjęcie wag budzi wątpliwości. Dla Milla nie to jednak było najważniejszym argumentem. Rozstrzygające było dążenie do „prawdziwej demokracji”: Mill postulował, by każdy miał w miarę możliwości swego reprezentanta w parlamencie. Można zatem sądzić, że wołałby, aby wprowadzono raczej posła G, którego popiera czterech wyborców, niż posła E, którego popiera trzech. Nie bez znaczenia jest też fakt – choć wynika on z własności wybranego przykładu i nie podlega uogólnieniu bez zastrzeżeń – że jeśli wybierzemy E, to swojego reprezentanta nie ma wyborca trzeci (D,F,G) i piąty (D,C,G); a jeśli wybierzemy G, to reprezentanta nie ma tylko szósty (C,F,E) wyborca.

Stosując opisaną procedurę, możemy liczyć na to, że w parlamencie znajdzie się wiele reprezentacji dostatecznie dużych mniejszości (co zapewniają te jednostki reprezentatywne, które postanowią głosować na wybranego kandydata i dać mu wysokie miejsce), a także pewna liczba posłów wskazanych przez wyborców wybierających stosunkowo mniej popularnych kandydatów (przez tych mianowicie, którzy liczą nie tylko na to, że wygra kandydat mający wysokie poparcie, ale także jakiś „fuks” z dalszego miejsca). Ponadto, gdy niemal każdy wyborca reprezentowany jest przez konkretnego posła, wyborcy mają dobry powód, by oddać swój głos na konkretnych kandydatów, czyli na tych, których osoby sobie cenią. W ten sposób do rządu mogą trafić wybitne indywidualności, a nie funkcjonariusze partyjni bez oblicza i osobowości. Wtedy nikt nie będzie głosować – jak pisze Mill – na „zgniłe pomarańcze” podsunięte mu przez partię polityczną (Mill 1995: 138).

Śmiem twierdzić, że bliższe badanie [propozycji pana Hare] coraz lepiej wykazywać będzie praktyczność i ogromne korzyści tego planu. Korzyści te są najznakomitszymi dziełami postępu, jaki dotąd osiągnięto w teorii i praktyce wyborczej. (Mill 1995: 138)

Zaproponowana procedura chroni demokrację przed dwiema wspomnianymi wyżej wadami – przed ignorancją i klikowością. Ponieważ jednostka reprezentatywna może być dowolnie ukonstytuowana, nie powstaje tendencja do utrwalenia się raz przyjętej metody zgłaszania kandydatów. Wiele rozmaitych grup może zabiegać o polityczne poparcie, a każdy wyborca, kierując się własnymi racjami, może decydować, na kogo odda swój głos. Ma do wyboru nie tylko skostniałe i dbające o własny interes partie polityczne, ale także grupy z konkretnym, nowym programem politycznym, który odbiega od wcześniejszych propozycji. Tak eliminuje się kliki. Ignorancja zostaje ograniczona, gdy wyborcy zdają sobie z tego sprawę, że ich głos liczy się bardzo konkretnie – bo kandydaci z dalszych miejsc też mają szansę wygranej – warto więc udzielać im poparcia, nawet jeśli nie mają globalnej liczbowej przewagi. Np. w podanym wyżej przykładzie, gdyby sumować głosy oddane na wszystkich kartach jedno-, dwu- i trzyosobowych, to kandydat C wyszedłby przed G, bo C znalazł się na listach pięć razy, a G tylko cztery razy (A=9, B=9, C=5, D=4, E=4, F=3, G=4, H=2). Wolno zatem argumentować, że C przegrał, bo ani nie jest globalnie dostatecznie ceniony (jak A i B), ani nie poszerza platformy poparcia dla parlamentu, bo nie zdobył większej liczby głosów na niższej pozycji w kartach wieloosobowych. Opisana procedura realizuje więc lepiej „prawdziwą” demokrację niż prosta zasada większości głosów. W „prawdziwej” demokracji połączona zostaje inwencja polityczna z jednej strony oraz szerokie poparcie wyborców z drugiej strony. Demokracja może się stać elitarna.

Dopełnienia i regulatora instynktów większości demokratycznej nie można szukać gdzie indziej, tylko w wykształconej mniejszości; ale przy zwykłym ustroju rządu demokratycznego mniejszość ta wcale nie ma swoich organów. System pana Hare daje jej właśnie taki organ. (Mill 1995: 144)

Jest to zatem propozycja otwarta na innowacje i nowe programy, choć nie umniejsza szans wyborczych konserwatystów i wielkich partii politycznych.

Nikt nie powiada, żeby wskutek planu pana Hare’a albo jakiegokolwiek innego planu, organizacja przestała być rzeczą korzystną. Rozproszone siły społeczne są zawsze w niekorzystnym położeniu w porównaniu z ciałami zorganizowanymi. (Mill 1995:148)

Popularyzując propozycję Hare’a, Mill broni rozwiązań umiarkowanych i stabilnych, racjonalnych i politycznie skutecznych. Nie wprowadza przy tym – choć pozornie tak mogłoby się wydawać – niezwykle trudności technicznych. Nie musimy przyjmować, że wyborca będzie pisać nazwiska na karcie do gło-

sowania. Karty mogą być drukowane przez jednostki reprezentatywne lub przez rząd na ich zlecenie. Kolejność kandydatów można zaznaczać w odpowiedniej kolumnie, wypełnione karty można czytać przy użyciu skanera, procedurę obliczeniową można przeprowadzić na komputerach itd. Dziś projekt Hare'a daje się łatwiej wprowadzić w życie niż za czasów Milla. Trudno też uznać za słuszny ewentualny zarzut, że ustalanie kolejności jest zbyt trudnym zadaniem dla przeciętnego wyborcy. Mill odpowiedziałby bez wahania – jeśli dla kogoś takie zadanie jest zbyt trudne, to nie powinien głosować. Wpływ na politykę powinni mieć tylko ludzie spełniający choć minimalne kryteria inteligencji, by w części przynajmniej pomniejszyć szkody wyrządzane przez ignorancję. W tej sprawie Mill ma także daleko idące propozycje.

Ordynacja wyborcza

Mill bronił prawa wyborczego dla wszystkich. W szczególności żądał, by kobiety posiadały prawo głosu, i występując w ich sprawie, zdobył miejsce w parlamencie (Mill 1995: 166). Ale „powszechnie” nie znaczy „bezwyjątkowo”. By głosować, trzeba rozumieć, co się robi; trzeba wiedzieć, na kogo się głosuje, i liczyć na jakieś skutki głosowania. Jako minimalne kwalifikacje traktuje Mill umiejętność liczenia i czytania. Te kwalifikacje można sprawdzić naprędce. W sytuacji wątpliwej trzeba prosić wyborcę, by przepisał jakieś zdanie z książki (Mill 1995: 157) lub rozwiązał zadanie oparte na „regule trzech”. Nadto, na sprawy publiczne powinni mieć wpływ tylko ci ludzie, którzy potrafią się nimi zająć i nie myślą wyłącznie o tym, jak mogliby skorzystać z podatków i z pracy innych. Mill proponuje zatem, by prawo głosu nabywało się dopiero po opłaceniu podatków. Pozbawieni prawa głosu będą ci, którzy pobierają wsparcie państwowe, i ci, którzy swoją firmę doprowadzili do bankructwa (Mill 1995: 158). Inaczej mówiąc, powszechne prawo głosu jest uprawnieniem potencjalnym, a nie aktualnym. W praktyce ma przysługiwać tym osobom, które wnoszą wkład do produktu narodowego, nie korzystają z pomocy społecznej, nie mają tendencji do ustanawiania wysokich podatków i do trwonienia środków publicznych na kosztowne, konsumpcyjne programy społeczne¹.

Mill godzi się zatem, by część dorosłych obywateli nie głosowała. Ta okoliczność nie musi jednak powodować, by ogólna liczba oddawanych głosów była mniejsza niż w demokracji niewprowadzającej proelitarnych ograniczeń. Mill proponuje, by pewnym jednostkom przyznać kilka głosów ze względu na ich lepsze zrozumienie problemów politycznych i społecznych, większy

¹ Równość polityczna może być stopniowalna. Tak uważa nie tylko Mill, ale np. Jonathan W. Still, który odróżnia sześć kryteriów politycznej równości: powszechne prawo głosu, równy wpływ na decyzję, równe prawdopodobieństwo przeforsowania swojej opcji, anonimowość, regułę większości i proporcjonalną reprezentację grupową (Still 1981: 385).

udział w tworzeniu majątku narodowego lub specjalne umiejętności nabyte na wyższych uczelniach (Mill 1995:162). Rysuje ten dylemat dość lapidarnie.

Jeśli człowiek głupi nie podda się kierunkowi człowieka mądrego, mądry będzie musiał ustąpić głupiemu. (Mill 1995:160)

Maksyma brzmi brutalnie, ale nie można powiedzieć, że jest po prostu fałszywa. Jeśli rządzi zwykła większość, to elitarne umiejętności i wiedza nie mogą mieć w rządzie naturalnej przewagi. Demokracji grożą błędy wytwarzane przez ignorancję i Mill stara się im zapobiec na dwa sposoby – stosując propozycję pana Hare i przyznając dodatkowe głosy osobom kompetentnym.

Nauki i sztuki wyzwolone, kiedy im się ktoś rzeczywiście poświęca, świadczą naturalnie o wyższym [...] stopniu wykształcenia. Jeżeli więc z rozpoczęciem pewnego zawodu każdy obowiązany będzie musiał złożyć odpowiedni egzamin lub dać inne nieomylne dowody swego wykształcenia, to po rozpoczęciu zawodu można mu natychmiast przyznać więcej głosów. (Mill 1995: 161)

Mill uchyla się od pytania, ile maksymalnie głosów może mieć jeden wyborca, a także nie wyjaśnia, jak wielka ma być grupa osób uprzywilejowanych. Wypowiada tylko przestrożę, że osoby mające pojedynczy głos powinny stanowić większość, a nawet, że zsumowana liczba ich głosów powinna przeważać zsumowaną liczbę głosów oddawanych przez osoby mające więcej niż jeden głos do dyspozycji (Mill 1995: 162). Nie wyklucza też sytuacji, w której o sprawy osób najgorzej przygotowanych do uczestnictwa w życiu politycznym troszczyć się będą przedstawiciele innych klas, rozumiejąc, że rozwiązanie problemów ludności najuboższej leży w interesie wszystkich.

Opinie i życzenie najuboższej i najmniej wykształconej klasy robotniczej mogą wywierać bardzo pozytywny wpływ (obok innych wpływów) na umysły głosujących i prawodawcy. A jednak mogłoby być rzeczą nader szkodliwą, gdyby się im nadało wpływ przeważający, dopuszczając ich w dzisiejszym stanie moralnym i intelektualnym do używania w pełni prawa głosowania. (Mill 1995: 183)

Mill nie rozważa kwestii, czy osoba mająca kilka głosów może nimi różnie dysponować i, na przykład, oddać jeden głos na reprezentanta partii rządzącej i jeden na przedstawiciela opozycji. Ponieważ dopuszcza jednak, by wyborca swoim głosem dbał o interes grup w gorszym położeniu, nie uważałby za nie stosowne, by ten sam wyborca dzielił swe głosy między różnych kandydatów. Co więcej, z uznaniem chyba odniósłby się do faktu, że wtedy pewni wyborcy osobiście mogliby zadbać o zwiększenie zróżnicowania składu posłów w parlamencie. Choć w ten sposób łatwo mogliby osłabić poparcie dla rządu – co jest, ogólnie rzecz biorąc, konsekwencją niekorzystną – to jednocześnie przez zwiększenie zróżnicowania stanowisk w parlamencie przyczynialiby się do większej

bezsronności i racjonalności debat – a to jest pożyteczne, ponieważ wtedy dla zdobycia poparcia projektodawcy nowych ustaw muszą uciekać się do racjonalnych argumentów i nie mogą poprzestawać na partyjnej lojalności.

Mill rozważa ponadto zagadnienie głosowania pośredniego, tajności głosowania, dopuszczalnych kosztów kampanii wyborczej i wynagrodzeń posłów za ich pracę.

Wybory pośrednie uważa za przydatne tylko w wyjątkowych okolicznościach, na przykład w systemie federalnym. Jeśli jakiś kraj składa się ze względnie autonomicznych okręgów, takich jak landy niemieckie czy stany w Północnej Ameryce, to – zdaniem Milla – reprezentacja do rządu federalnego powinna być wybierana przez reprezentantów okręgowych, a nie bezpośrednio przez wszystkich obywateli. Jest to lepsze rozwiązanie, ponieważ – jak pisze – rząd federalny nie reprezentuje woli obywateli, tylko wolę stanów lub okręgów (Mill 1995: 174). W takim przypadku z góry jest określona liczba reprezentantów, na przykład liczba senatorów przesyłanych przez każdy stan, i reprezentanci wybierani są lokalnie. W takim przypadku pośrednie wybory gwarantują proporcjonalną reprezentację, np. po dwóch reprezentantów z każdego stanu, czyli faworyzują rozwiązanie przypominające gwarantowany udział mniejszości – co Mill uznawał za ważny cel w polityce. W zasadzie jednak za lepsze uważał wybory bezpośrednie, ponieważ udział bezpośredni obywateli zwiększa ich zainteresowanie funkcjonowaniem instytucji politycznych i ponieważ bezpośrednie wybory zmniejszają szanse przekupstwa, intryg i korupcji, na jakie narażony jest system wyborów pośrednich (Mill 1995: 175).

Ze szczególnym przekonaniem bronił Mill idei głosowania jawnego, zupełnie dziś niepopularnego w praktyce politycznej. Przyznaje, że nie wolno tego rozwiązania stosować, gdy wyborcy mogą być narażeni na represje ze strony kandydatów, od których w jakiś sposób zależą. Ordynacja musi ich wtedy chronić przed naciskami i zemstą (Mill 1995: 175). Tam jednak, gdzie takie zagrożenie nie występuje, tajne głosowanie jest szkodliwe, ponieważ sprzyja korupcji i nieodpowiedzialności politycznej. Skłania wyborców do uznania, że posiadają prawo głosu, by się nim posługiwać dla własnej korzyści, a nie po to, by wprowadzić powszechnie użyteczne rządy.

Duch tajnego głosowania, sposób, w jaki go sobie prawdopodobnie wyborca tłumaczy, jest taki, iż mu się zdaje, że głos jemu jest dany dla niego samego, dla jego użytku i na jego osobistą korzyść, ale wcale nie jako obowiązek publiczny. Bo gdyby to był obowiązek, gdyby publiczność miała jakieś prawo do jego głosu, to dlaczegoż nie miałyby prawa znać tego głosu? (Mill 1995: 176)

Podobnie niekorzystne efekty wywołuje walka o uzyskanie prawa głosu. Jeśli ktoś musi o nie walczyć, to po jego zdobyciu uznaje, że tym politycznym trofeum wolno mu rozporządzać wedle uznania. By uniknąć tego efektu, należy

konsekwentnie przekonywać wyborców, że prawo głosu nie jest uprawnieniem, ale obowiązkiem – i że ma być ono użyte nie w interesie własnym wyborcy, ale dla dobra powszechnego. I tu leży dodatkowy powód, by przyjąć powszechne prawo głosu

Jeżeli udział w głosowaniu jest prawem, jeżeli służy ono głosującemu dla niego samego, jakże go tu potępiać za to, że głos swój sprzedaje, że go używa na to, aby się zasłużyć osobie, której chce się przypodobać w osobistym swym interesie. (Mill 1995: 177)

Mill nie proponuje, i oczywiście nie ma prawa proponować, żadnej instytucjonalnej kontroli nad tym, jak głosy są wykorzystywane przez wyborców. Każdy ma prawo głosować wedle własnego uznania. Przypomina jednak, że jest to „ściśle sprawa obowiązku”, a nie uprawnienie do czerpania korzyści politycznych.

Ale głos jego nie jest to rzecz, która by mogła zależeć od jego kaprysu; osobiste jego życzenia tyle tutaj znaczą, co w wyroku, jaki winien wydać sędzia przysięgły. Jest to ściśle sprawa obowiązku; winien on głosować wedle najsumienniejszego swego przekonania opartego na świadomości dobra publicznego. Ktokolwiek ma inne pojęcie co do prawa głosowania, nie jest godzien posiadać tego prawa. (Mill 1995: 177)

Krótko mówiąc, kto używa głosu we własnym, egoistycznym interesie, jest politycznym oszustem i powinien nie mieć odwagi „popatrzeć w oczy uczciwemu człowiekowi” (Mill 1995:185). Jawność głosowania – twierdzi Mill – jest środkiem zapobiegawczym przed rozpanoszeniem się egoizmu politycznego. By dodatkowo ograniczyć korupcję i sprzedajność posłów, Mill proponuje, by na polityce nie dało się zarobić. Każdy, kto chce kandydować na reprezentanta, powinien zapłacić pięćdziesiąt lub sto funtów za zgłoszenie swej kandydatury (Mill 1995:187). To na początek. Później nikomu nie wolno wydać na kampanię wyborczą więcej niż pięćdziesiąt funtów (i spełnienie tego warunku każdy poseł powinien zaświadczyć pod przysięgą) (Mill 1995:187). Wreszcie, by ochronić politykę od „ostatniego rodzaju awanturników” (Mill 1995:190), nie należy wypłacać posłom pensji. Każdy reprezentant powinien utrzymywać się ze składek swych wyborców, tak aby zależał od nich finansowo i tym samym starał się skrupulatnie wypełniać ich żądania (Mill 1995:191). Spełnienie tego warunku przyczynia się do zaktywizowania wyborców. Wyborcy chcą wiedzieć, jak pracuje człowiek działający w ich imieniu i pozostający na ich utrzymaniu. Mill nie wątpi, że wyborcy będą umieli sprawować kontrolę nad swymi reprezentantami i nie dadzą się zwieść pustym obietnicom i pochlebstwom.

Masy nie dbają tak dalece o różnice zachodząca między jednym a drugim pochlebcą, aby wybrawszy jednego z nich brały go na swój koszt tylko dlatego, by im piękniej pochlebiał. (Mill 1995: 191)

Demokracja elitarna i demokracja popularna

Łatwo można wskazać na istotne różnice między koncepcją Milla a dzisiejszym wyobrażeniem o demokracji reprezentatywnej. Obie wersje ustanawiają powszechność głosowania i bezpośredni tryb wyborów. Poza tym różnią się w wielu punktach.

1. Mill odbiera prawo głosu bankrutom, nieukom i osobom niewpłacającym należnych podatków; my wykluczamy tylko osoby pozbawione praw obywatelskich.
2. Mill dopuszcza wielość głosów; my ściśle trzymamy się zasady „jedna osoba, jeden głos”.
3. Mill domaga się jawności głosowania; my wybieramy tajność.
4. Mill każe kandydatom płacić za kandydowanie i bierze ich na utrzymanie wyborców; my godzimy się na wysokie pensje dla posłów.
5. Mill zabiega o proporcjonalną reprezentację, opierając się na projekcie Tomasza Hare, my wybieramy „falszywą demokrację”.
6. Mill na podstawie tego samego projektu chce rozbić siłę partii politycznych, proponując, aby dowolne, byle dość liczne, zgromadzenie miało swego reprezentanta; my głosujemy na „zgniłe pomarańcze”.
7. Mill pozwala wydać każdemu kandydatowi najwyżej 50 funtów na kampanię; my akceptujemy bająskie sumy.
8. Mill podkreśla, że głosowanie jest obowiązkiem i ma na celu znalezienie osób bezstronnych i zdolnych do działania na rzecz dobra wspólnego; my głosujemy na osoby zabiegające o interes własny lub partyjny.

Czym się tłumaczyć tak daleko idące rozbieżności? Ich przyczyną jest mniej lub bardziej wyraźnie przyjmowany cel polityki. Mill przyjmuje, że instytucje państwowe istnieją po to, by rozwiązywać problemy społeczne i zarządzać państwem. Wybrany przez niego ustrój ma prowadzić do postępu w warunkach wolności i równości, w systemie, który możemy nazwać demokracją elitarną. My wybieramy demokrację popularną, która sprzyja niespodzianemu pojawianiu się nowych koalicji na scenie politycznej, wyłonionych w tajnym głosowaniu. To wydaje się uzasadnione tylko pod warunkiem, że chcemy zachować instrument pozwalający obalić dotychczasowy układ sił w parlamencie, by ochronić społeczeństwo przed tyranią. Nie wolno, oczywiście, bagatelizować tego względu. Jeśli jakieś społeczeństwo słusznie się obawia, że rządząca partia zechce utrzymać się przy władzy wbrew woli większości, stosując zastraszanie, naciski i kontrolę głosów, to tajność głosowania jest skutecznym sposobem odsunięcia jej od władzy. Jeśli jednak taka obawa jest urojona, to tajne głosowanie skłania do nieodpowiedzialności i do użycia głosu dla własnej korzyści, a nie dla powszechnego dobra. Podobnie jest z wielością głosów. Jeśli istnieje obawa, że dodatkowe głosy będą używane wyłącznie w interesie elity, która je posiada, to obdarzanie jej tym przywilejem nie ma sensu. Jeśli jednak można spodziewać

się, że jednostki wybitne potrafią ograniczyć swój egoizm i zechcą realizować program polityczny, który jest korzystny dla całego społeczeństwa, wtedy utrzymywanie zasady „jedna osoba, jeden głos” jest szkodliwe. Podobnie, jeśli ciągła realizacja programu politycznego wymaga, by za każdą społecznie ważną sprawą stała jakaś partia polityczna, to osłabianie jej siły jest niebezpieczne. Jeśli natomiast społeczeństwo jest na tyle dojrzałe i zrównoważone, że jest w stanie popierać publiczne instytucje przez dłuższy czas, nawet jeśli za tymi instytucjami nie stoją konkretne partie polityczne, to Mill słusznie zamierza ograniczyć siłę partii, przyjmując projekt Tomasza Hare, ustalając limit wydatków na kampanie i skazując posłów na pobieranie pensji od swych wyborców. Powraca więc problem wspomniany na wstępie.

Wszędzie, gdzie ogólne usposobienie ludu jest takie, że każda jednostka pilnuje jedynie osobistych swoich interesów i nie przykładą należycie ręki do swego udziału w interesach ogólnych albo się o nie nie troszczy, w takim stanie rzeczy dobry rząd jest niepodobieństwem. (Mill 1995: 59)

To jednocześnie założenie i wniosek. Polityka i etyka muszą się wzajem uzupełniać. W społeczeństwie skorumpowanym, nieuczciwym, składającym się głównie z egoistycznie nastawionych jednostek postęp i dobrobyt są niemożliwe. Takie społeczeństwo ma tendencję do paraliżowania działań instytucji politycznych i w jego przypadku demokracja może służyć tylko jako ochrona przed tyranią, czyli musi to być demokracja popularna.

Inaczej jest w społeczeństwie, którego obywatele kierują się poczuciem obowiązku i używają instytucji politycznych do rozwiązywania problemów społecznych, a nie dla osobistej korzyści. Tam możliwe jest zaprowadzenie ustroju nakierowanego na realizację postępu i dobrobytu, bo do polityki trafiają wielkie indywidualności cieszące się autorytetem społecznym, ludzie z doświadczeniem i zdolnością do negocjacji, nie zawodowi politycy, ale wybitni przemysłowcy, uczeni, działacze społeczni, postacie wykreowane przez media, przywódcy organizacji pozarządowych. W demokracji elitarnej ugrupowania polityczne tworzą się dopiero w parlamencie, po tym, jak rozliczne programy działania zostaną przedstawione i przegłosowane, a wybrane projekty posłowie zharmonizują dla wspólnego dobra. W ustroju proponowanym przez Milla nikt więc nie liczy na to, że uda mu się skompromitować i ośmieszyć rząd, aby go szybciej obalić. Nikt nie wznieca społecznego protestu, by przechwycić władzę i wdrażać byle jakie, rzekomo niezbędne reformy. Wpływ ludzi z prawem wielokrotnego głosowania pozwala ukonstytuować się elicie politycznej, która nie myśli przede wszystkim o zaspokojeniu własnych ambicji, ale potrafi planować, myśleć za innych i podejmować długoterminowe działania. Kraj rozwija się nie tylko dzięki aktywności poszczególnych jednostek, ale dzięki staraniom grup mających wspólny program, niezagrożonych przez arbitralne podatki, fiskalne nękanie i populistyczną demagogię. Możliwy jest podstęp i dobrobyt.

Mill nie był jedynym orędownikiem takich idei. Podobne nadzieje można znaleźć w pracach J.J. Rousseau, który odróżniał wolę wszystkich i wolę powszechną, w teorii Johna Rawlsa, który pragnął ustanowić uniwersalną konstytucję za zasłoną niewiedzy, i w pragmatystycznych koncepcjach Emmersona i Thoreau. W podobny sposób widzi też cele demokracji George Kateb (Kateb 1981: 359–360), który twierdzi, że demokracja reprezentatywna wiąże się trwale z pewnymi wartościami moralnymi. Po pierwsze, wyrabia „ducha niezależności”. Po drugie, pokazuje każdej dorosłej jednostce, co to znaczy być obywatelem; uczy ją tego, by wzięła odpowiedzialność za swój los i za los innych. Po trzecie, demokracja reprezentatywna narzuca partiom politycznym obowiązek działania dla dobra wszystkich, a nie dla dobra własnego. Jest jednak oczywiste, że wszystko, co mówi Kateb, odnosi się do demokracji nastawionej na dążenie do postępu, a nie na ochronę przed tyranią, czyli do demokracji elitarniej.

Wydaje się, że na korzyść demokracji elitarniej przemawiają dodatkowo trzy względy omawiane we współczesnej filozofii politycznej – stabilność, idealne preferencje wyborców i obowiązek głosowania.

Najpierw zwróćmy uwagę, że stabilność rządu i jego programu politycznego to wartości ważne, ale nie absolutne. Ustrój demokracji reprezentatywnej powinien przewidywać dwie możliwości – możliwość odwołania rządu, gdy nieustępliwie realizuje on niepopularną politykę, oraz utrzymania rządu i jego niepopularnej polityki, gdy jej realizacja wymaga wyrzeczeń, ale wedle realistycznej prognozy prowadzi do społecznie korzystnych skutków. Odróżnienie tych dwóch sytuacji jest trudne, ale możliwe. Jednak to demokracja elitarna ma szansę dokonania tego odróżnienia, a nie demokracja popularna. Demokracja popularna ma krótką pamięć, jest niecierpliwa i nie ufa elitom. Preferuje rozwiązania krótkoterminowe i łatwo sprawdzalne. Demokracja elitarna ma więcej cierpliwości i więcej wprawy w odróżnianiu fałszywych obietnic od realistycznych prognoz.

Po drugie, idealne preferencje są trudnym zagadnieniem, ale fundamentalnym dla demokracji reprezentatywnej i nie wolno go pomijać. Powszechne prawo głosu przyznawane jest po to, by każdy mógł wpłynąć na bieg polityki i mógł ją skierować na cele, które uznaje za wartościowe, ale tylko pod warunkiem, że myśli racjonalnie i nieegoistycznie. Reprezentant powinien więc pełnić wobec wyborcy funkcję analogiczną do adwokata. Powinien brać pod uwagę, czego wyborca oczekuje, ale powinien wiedzieć lepiej od niego, jak ten oczekiwany cel osiągnąć.

Z jednej strony [...] reprezentowanie nie może oznaczać tylko zastępowania. Adwokat, który robi tylko to, co ja bym robił – przy swej ignorancji prawa – gdybym był na jego miejscu, nie reprezentuje mnie dobrze. Z drugiej strony – i to jest zasadnicze – uprawnienie do reprezentowania jest zawsze odwoływalne. (Rogowski 1981: 396)

Wyborca może zatem nie wiedzieć, co reprezentant powinien dla niego zrobić. Ma jednak prawo orzec, nawet przy swej ignorancji, kiedy reprezentant

występuje wadliwie w jego sprawie. Jest jasne, że warunek ten da się znacznie łatwiej spełnić w demokracji elitarnej niż w popularnej. W demokracji elitarnej reprezentant jest bardziej kompetentny i pomysłowy. Również wyborca ma w takim systemie więcej orientacji w tym, kiedy jest dobrze reprezentowany, a kiedy wykorzystywany przez politycznych spryciarzy. Rządziej kieruje się podejrzliwością lub niecierpliwością.

Po trzecie, wielu autorów zajmujących się filozofią polityki zaleca wprowadzenie obowiązku głosowania. Był on lub jest stosowany w Australii, Włoszech, Niemczech, Grecji, Belgii, Holandii, Luksemburgu, Austrii (niektóre landy), Szwajcarii (niektóre kantony) i w większości krajów Ameryki Łacińskiej (Lijphart 1997: 2). Samo wprowadzenie tego obowiązku silnie aktywizuje wyborców i wiąże w ich wyobraźni politykę z etyką. Kary za opuszczenie wyborów stosowane są rzadko i najczęściej są niższe niż mandaty za przekroczenie drogowe. Nikt też nie próbuje sprawdzać, czy osoba wezwana do lokalu wyborczego wypełniła kartę głosowania i włożyła ją do urny; rejestruje się tylko obecność w lokalu wyborczym. Sposób dysponowania swoim głosem nie jest więc w żaden sposób ograniczony. Jednak samo uznanie, że głosowanie jest nie tylko przywilejem, ale i obowiązkiem, powoduje znacznie większą frekwencję i – jak można sądzić – znacznie silniejszą motywację do głosowania nie we własnym interesie, ale w interesie publicznym. Taki obowiązek głosowania można wprowadzać i w demokracji elitarnej, i w popularnej. Jednak jego wpływ jest potencjalnie znacznie wyraźniejszy w demokracji elitarnej niż w popularnej. W demokracji popularnej obowiązek głosowania może zachęcić do większego zainteresowania polityką. W demokracji elitarnej wywołuje ten sam efekt, ale dodatkowo też skłania do aktywnego udziału w polityce tych, którzy potrafiliby wyrzucić na jej bieg korzystny wpływ, ale, zniechęceni brakiem własnej skuteczności, rezygnują z udziału w wyborach. Gdy już muszą iść głosować, wiedzą wtedy dobrze, kto może oddać największe usługi jako reprezentant – i jemu oddają swój głos. Gdy nie muszą, tłumaczą sobie, że ich głos się nie liczy.

Wiele przemawia za tym, że powinniśmy poważnie traktować propozycje Milla i zrobić dokładnie to, co on zaleca. Tymczasem wydatkujemy całą energię i pomysłowość, zabiegając o rozwój gospodarczy, tolerancję religijną, lepszą oświatę i sprawniejsze urządzenia techniczne, a jednocześnie pozwalamy, by rządził nami prymitywny, kosztowny i niefunkcjonalny system polityczny. Nasza indolencja wykorzystywana jest przez wrogów prawdziwej demokracji, przez przeciwników racjonalności i postępu, którzy udają niewinnych konserwatystów i tradycjonalistów. Mill wykazał, że jest to fałszywa niewinność, za którą kryją się społeczne uprzedzenia, demagogiczne upodobania i polityczna nieodpowiedzialność.

Bibliografia

- Black, Duncan (1949): *Some Theoretical Schemes of Proportional Representation*, w: „The Canadian Journal of Economics and Political Science”, tom 15, nr 3: 334–343
- Kateb, George (1981): *The Moral Distinctiveness of Representative Democracy*, w: „Ethics”, tom 91, nr 3: 357–374
- Lijphart, Arend (1997): *Unequal Participation: Democracy's Unresolved Dilemma*, w: „The American Political Science Review”, tom 91, nr 1: 1–14
- Mill, John Stuart (1995): *O rządzie reprezentatywnym. Poddaństwo kobiet*, tłum. Gustaw Czernicki, Kraków: Znak
- Rogowski, Ronald (1981): *Representation in Political Theory and Law*, w: „Ethics”, tom 91, nr 3: 395–430
- Still, Jonathan W. (1981): *Political Equality and Election Systems*, w: „Ethics”, tom 91, nr 3: 375–394

False Democracy

J.S. Mill criticizes all political systems that rely too much on direct majority rule. Political rationality can be achieved only if voters cease to lend their support to political parties and try instead to find in their numbers such individuals that can best defend their conception of functional political organization. Voting for them will create ‘a true’ democracy. A ‘false’ democracy will continue to prevail, however, if political voting will be used as an opportunity to bring to parliament groups that are motivated by their own economic or social interests. They will tend to form in the legislative body an internal majority of the selected house members who will do their best to impose their rule on others. To stop this practice Mill proposes several remedies: plurality of votes, tests of literacy, limited expenditure for election campaigns, etc. He speaks in favor of a voting scheme proposed by Thomas Hare, which favors various kinds of minorities. The project is not described by Mill with the precision that it deserves. The author tries to make up for this deficiency.